

Z notatnika wiejskiego reportera

Zemsta

A dzisiaj Motylowa złamała nogę. Tak normalnie. Laźła po lodzie i złamała.

Krzyk przeszedł przez całą wieś, aż kury zachwiały się na grzędach. Bo trzeba wam wiedzieć, że Motylowa to kawał kobity: ze sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i, tak na oko, waga około setki, więc krzyk, który wyszedł z jej gardła, miał w sobie wielką siłę. No i właśnie Motylowa złamała nogę.

Motyl w tym czasie siedział w knajpie i wesoło gawędził o ostatnich sukcesach na polowaniu. Sukcesy to oczywiście powiedziane na wyrost, ale fakt faktem, że ostatnio trafił zającą i bardzo się tym przechwalał. Janek Gajdzis, który był z nim na polowaniu, a sam niczego nie ustrzelił, złośliwie rozpuszczał plotki, że zając był chromawy, a i pewnie czymś otumaniony, bo inaczej strzelić by się nie dał. Dość, że Motyl siedział w knajpie, kiedy jego żona krzykiem ogłosiła alarm we wsi.

Nie powiem, że szklanki się zakotywały w barze od tego krzyku, ale Felczak poderwał się ze swojego krzesła i przytknął nos do szyby.

– Ale się jakaś franca drze, jakby ją szlag trafił – skomentował.

– Daj Bóg, żeby to moja była – rozmarzył się Motyl całkowicie nieświadom sytuacji. Wtem drzwi knajpy otworzyły się z hukiem i wpadł Jasiek, jego najmłodszy syn.

– Tato, tato, mama nogę złamała i kazała ciebie wołać, bo lekarza trzeba – wykrzyczał zdyszany. Motyl pokraśniał na gębie jak zupa buraczana i wstał z krzesła. Zachwiała nim, bo chociaż to chłop jak dąb, to osiem piw jednak zrobiło swoje.

– Ot, wykrakał – szepnął Felczak, ale Motyl zgromił go wzrokiem, narzucił na siebie kozuch i ruszył za synem.

– Tylko mi piwa mojego nie ruszać – rzucił groźnie na odchodnym i wiadomo było, że piwo przetrwa w nienaruszonym stanie nawet do wiosny, o ile Motyl do tego czasu w knajpie się nie pojawi.

Drzwi zatrzęsły się, a do środka wpadło chłodne zimowe powietrze, jakby chciało zmrozić wszystkich chętnych do ruszenia nietykalnego.

Mniej więcej po pół godzinie do wsi wjechała karetka na sygnale, a potem, również na sygnale, odjechała.

W knajpie Motyl pojawił się po tygodniu; zmizerniały i z mocno podkrążonymi oczami.

Zamówił dwa piwa i rozparł się przy barze.

– Siadaj Gienek, opowiadaj – zagadał Felczak, który jak zwykle po południu wpisywał się na listę knajpianych gości.

– A co mam ci mówić, chłopie – rzekł zrezygnowany Motyl. – Stara w łóżku od tygodnia, a ja zasuwam, jakbym miał motorek w dupie: a to kury nakarmić, a to świniom podać i wyrzucić z obory gnój, to znowu obiady, pranie...

– Pranie????!! – wyszeptał zatrwożony Felczak.
– A coś ty myślał, że dzieciaki brudne będą chodzić? – odwar knął Motyl i nachylił się do Felczakowej gęby.
– Pamiętaj, jak powtórzysz komuś... – zagroził.

Felczak zbladł, jakby wyspał się na niego worek mąki i wystękał ze strachem w głosie:

– Coś ty, Gienek, ja? Nigdy!

A Motyl kontynuował.

– No i to latanie po wszystko, co sobie zażyczy stara, bo lekarz kazał jej leżeć i przez cztery tygodnie nie wstawać, a ona ma humory: a to pomidoraka, a to szklankę mleka, żeby się kości szybciej zrastały, a to...

W tym momencie, nagle, jakby diabeł wyskoczył spod przypiecka, w knajpie rozległa się melodia piosenki „Majteczki w kropeczki...”. Motyl aż podskoczył, a jego pięści zacisnęły się tak mocno, że zbiały kostki dłoni. Felczak przełknął ślinę ze strachu i z oszołomienia. Tymczasem Motyl wyciągnął z kieszeni kożucha komórkę i łamiącym się głosem powiedział:

– Halo.

W odzwie, z głośnika, dało się słyszeć skrzekliwe.

– Miałeś zaraz wrócić. Jeść mi się chce.

Felczak patrzył jak oniemiały na Gienska i w duchu przeklinał, że znalazł się o tej porze, właśnie w tym miejscu. Już prawie składał śluby przed Najświętszą Panią, że nigdy więcej noga jego w knajpie nie postanie, gdy Motyl odezwał się nad wyraz spokojnym głosem. – Już idę, Zosiu. – I wyłączył komórkę. Dopił piwo, nałożył futrzaną czapę i, nie odwracając się, rzucił na odchodnym groźne:

– Pamiętaj.

Drzwi się już dawno zatrzęsły za Motylem, a Felczakowi jeszcze w uszach dzwoniły te słowa, a wargi drżały wykrzywione w niewyraźnym uśmiechu.

Minął miesiąc, kiedy Motylowa pojawiła się w sklepie. Natychmiast otoczył ją wianuszek kobiet i zewsząd padały pytania: „jak noga?”, „jak zdróweczko?”, a Wiesiecka skomplementowała Motylową: „no, no, sąsiadko, wyglądasz jeszcze lepiej niż przed tym wypadkiem” i w jej głosie po trosze ukryta była złośliwość, ale i podziw dla zdrowego, a zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, rumianego wyglądu Motylowej. Ta zaś szczebiotła wniebowzięta, odpowiadała na pytania, i byłaby niechybnie zdradziła tajemnicę dobrego samopoczucia, gdyby nie krzyk, który jak tajfun przeleciał przez wieś. Wszystkich w sklepie zdjęła trwoga, a Motylowa zbladła najmocniej, bo w tym ryku, wrzasku pierwotnym, rozpoznała głos Gienska, swojego męża. Zanim ktokolwiek wypowiedział słowo, drzwi do sklepu otworzyły się z hukiem, w progu stanął błąd Felczak i, jak herold jaki, ogłosił wszem i wobec:

– Motyl złamał rękę.

Znowu we wsi zabrzmiał sygnał karetki i znowu po jakimś czasie się oddalił, żeby po chwili umilknąć całkowicie.

Nazajutrz, pod wieczór, w knajpie pojawił się Motyl z białym, gipsowym opatrunkiem na prawej ręce, a gips miał potężny, bo zaczynał się w połowie dłoni i sięgał aż po bark. Motyl usiadł ciężko, ale zbyt wesołym głosem, jak na poszkodowanego, zakrzyknął:

– Piwo dla wszystkich.

Radosny śmiech przetoczył się przez salę.

– Jak tam ręka, Gienek? – zapytał Rysiu Maliński, barman i zarazem właściciel knajpy.

– A nie narzekam – odparł uśmiechnięty Motyl i ujął szklankę zdrową ręką.

– Na zdrowie – zawołał i upił pół zawartości szklancy. – Głodnym – rzekł tak jakoś do siebie, ale żeby wszyscy słyszeli, i wyjął z kieszeni kożucha komórkę. Całe towarzystwo zamarło w oczekiwaniu, a Motyl wystukał numer i niezwykle miłym, ale stanowczym głosem, rzucił w słuchawkę.

– Będę za jakąś godzinę – a potem dodał tonem, który nie zwiastował niczego dobrego – i będę głodny, Zosiu.

Kiedy skończył rozmawiać, tyknął piwa i rozmarzonym głosem rzucił: „zemsta to piękna rzecz”, a przez knajpę przeleciał jego mocny, szczerzy śmiech. Trochę ze strachu, ale również z grzeczności, zawtórowali mu pozostali biesiadnicy.

W oparach dymu i alkoholu toczyły się rozmowy, a Gienek Motyl, rozparty na krześle, uśmiechał się do siebie i miało się wrażenie, że tym uśmiechem zaraża pozostałych; tak szczerzy i radosny był to uśmiech. Jeszcze długo po tym, jak Motyl wyszedł z knajpy, rozważano jego słowa, te rzucone niby przypadkiem, ale jakby celowo głośno, żeby wszystkim zamieszać w głowach: „zemsta to piękna rzecz”. Zagadywano Felczaka, bo w końcu, kto jak kto, ale to on najczęściej z Motylem pijał, więc powinien wiedzieć więcej niż pozostali, ale Felczak milczał jak zakłęty, chociaż nawet niewprawnym okiem było widać, że skrywa jakąś tajemnicę.

Tak minął wieczór, a o potem wieczory następne. Przyszła wiosna i wszystko zostało zapomniane, bo wiosna ma to do siebie, że tak potrafi wszystkich zauroczyć i zakręcić, że z głowy ulatują dawne sprawy: ważne i te mniej ważne.

Mniej więcej po pół roku, pod wpływem kilku piw i tyłuż setek, Felczak wygadał się przede mną, jak to Motyl siłą zmusił go, żeby obuchem od siekiery złamał mu rękę i na moje powątpiewanie zarzeknął się, jakby śluby jakieś składał, że to najprawdziwsza prawda.

Wtedy mnie olśniło: przypomniały mi się te tajemnicze słowa Gienka: „zemsta to piękna rzecz”, i słowa dziadka Józefa, który znał wszystkich we wsi i o każdym wiedział wszystko: „Motyle to dobrzy i uczciwi ludzie, ale mają jedną wadę: mściwi są okropnieście i z zemsty nie oszczędzą nikogo”. Tylko że nawet dziadek Józef nie mógł przewidzieć, że samego siebie również.

Porno

Niedzielną msza jeszcze się nie skończyła, kiedy z trzeciego rzędu uniosła się Stefańska i ściskając w rękę jakiś zwój papieru, powiedziała głośno do księdza:

– I niech ksiądz potępi tego, kto rozruca takie świętwa.

Szmer przeszedł przez kościół, bo takie „wybryki” dawno już się na mszy nie zdarzały, a przynajmniej od czasu, gdy wioskowy głupek i pijak Wiśniewski, obudzony się nagle podczas kazania krzyknął: „Piwo mi tu, kurwa dawać”.

Ksiądz gestem dłoni uciszył zebranych i powiedział:

– Później, pani Stefańska, później.

Ale Stefańska stała niewzruszona niczym żona Lota, a w jej wyciągniętej dłoni, jak pochodnia w Statule Wolności, tkwiła gazeta zwinięta w rulon...

Był piątek. Całkiem zwyczajny piątek; teoretycznie taki jak każdy inny w ciągu roku, ale, jak się później okazało, odmienny od wszystkich. W taki właśnie piątek, w połowie ciepłej wiosny, Stefańska, osoba poważana w całej wsi, natknęła się na leżącą na środku chodnika gazetę. Początkowo nie zwróciła uwagi na zdjęcie z pierwszej strony i odruchowo schyliła się, żeby podnieść zaśmiecające chodnik czasopismo, lecz kiedy uniosła je z ziemi, krew uderzyła jej do głowy. Nabrała powietrza do płuc i czerwona jak piwonia, wyszeptła z najwyższym wysiłkiem: „hańba”.

Na pierwszej stronie rzeczony gazety widniała całkiem naga kobieta, ze wszystkimi przyległościami, jak Stefańska nazywała atrybuty kobiecości, a obok niej stał golusieńki Murzyn, trzymający w rękę swoje przyrodzenie. Obie postacie miały więcej niż rozkoszny, a nawet jak to ze zgrozą w myślach określiła Stefańska, rozanielony wyraz twarzy.

Kobieta z odrazą zwinęła gazetę w rulon i rozglądając się wokoło, czy aby jakieś dziecko nie dostrzegło tego świętwa, wsunęła znalezione do foliowej reklamówki. Na szczęście okolica świeciła pustką, bo jednak szósta rano to nie najlepsza pora na spacer, nawet w taki piękny, wiosenny dzień.

Stefańska, nadal trzęsąc się z wściekłości, wykonała w tył zwrot i zapominając o zakupach, po które wyszła tego ranka, zawróciła do domu.

Ledwie przekroczyła jego próg, krzyknęła do męża.

– Marian!

Ale o tej porze jej mąż, Marian Stefański, słodko spał, a w jego śnie pojawiła się właśnie piosenkarka Doda i w sposób niezwykle kuszący zachęcała go do wyuzdanego seksu.

– Marian! – zagrzmiął jeszcze raz w chałupie i głos ten, rozbrzmiewający z siłą trąb jerychońskich, wyrwał Mariana całkowicie ze snu. Jeszcze otumaniony i wściekły za przerwanie erotycznych marzeń, Stefański ryknął.

– A co się kurwa dzieje!

Kiedy oprzytomniał, było już za późno na odwrócenie nieodwracalnego. Oto jego żona, tam, gdzie stała, padła na kolana i zaczęła się głośno modlić. Trzeba dodać, że w tym domu, w każdym pokoju, ba, nawet w łazience wisiał obraz Przenajświętszej Pani. „Najświętsza Pani, chroń tego bezbożnika, męża mojego Mariana i daj mi siłę, żeby doczekać z nim dni ostatnich, jak przysięgałam w kościele”.

Tymczasem jej mąż, ciągle leżąc w łóżku, również oddawał się modlitwie, ale zgoła inne były słowa przez niego wypowiedzane: „Najświętsza Pani, jeśli istniejesz, wyzwól mnie od tej okropnej baby, bo nie godzi się tak męczyć porządnego człowieka”.

Tak właśnie rodzina Stefańskich, w piątkowy poranek, oddawała się modlitwom. Dzień zapowiadał się piękny i ciepły, i nic nie wskazywało na to, że ten właśnie zwykły piątek da początek zdarzeniom, które na zawsze zapiszą się w wiejskich annałach.

Po południu Stefańska zwołała naradę Koła Gospodyń Wiejskich, nazywanego przez jej męża Kołem Gospodyń Beznadziejnych, w skrócie KGB. Zebranie odbyło się w sali remizy strażackiej.

Pierwsza głos zabrała, oczywiście, Stefańska, a to z racji pełnionej przez siebie funkcji prezesa tego Koła i z racji palącego problemu, dla którego zwołano zebranie.

– Drogie koleżanki – zaczęła. – Dzisiejsze spotkanie ma na celu napiętnowanie obywatela lub – tu Stefańska zawiesiła głos i dodała z odrazą – obywatelki naszej wsi, która to osoba, nie dbając o moralność naszej wspólnoty, rozpowszechnia takie pisma.

W tym momencie sięgnęła do torby i rzuciła na stół znalezionej rankiem gazetę.

Zebrane kobiety spojrzały po sobie i dopiero Wiesiecka, której Stefańska nie cierpiała za lekki, jak to określała, stosunek do mężczyzn, odważyła się wziąć czasopismo do ręki. Kilka pań przysunęło się do niej bliżej, żeby wspólnie obejrzeć występne dzieło. Lecz ich reakcja była zupełnie inna od tej, jakiej oczekiwała Stefańska.

– Ale ma maczugę – wykrzyknęła radośnie Motylowa, oglądając zdjęcie Murzyna z przyrodzeniem w dłoni.

– I ten też ma się czym pochwalić – dorzuciła Kopczyńska, wskazując palcem fotografię innego mężczyzny.

– Co za chłopy... – dodała rozmarzona Kwiatkowska i tymi słowami przelała czarę, a właściwie garnek goryczy i wściekłości

– Dość! – krzyknęła Stefańska, waląc pięścią w stół. – Nie po to zebraliśmy się tutaj, żeby podziwiać tych zbrodzców, ale żeby potępić tę Sodomę z Gomorą.

Krzyk i uderzenie pięści o stół spowodowały, że w sali zapanowała cisza.

– Ależ Wiesiu – zwróciła się nieśmiało do Stefańskiej Motylowa – to tylko żarty..

Nie dokończyła jednak zdania.

– Żarty?! A gdyby tak twoje dziecko natknęło się na tę gazetę? Też by były żarty?

Motylowa spuściła głowę, a wraz z nią uczyniły to pozostałe kobiety.

Stefańska uśmiechnęła się pod nosem i już spokojniejszym tonem wyjaśniła wszystkim kobietom, jaki ma plan.

Po pierwsze: wywiad kto, a po drugie: potępienie, i to nie tak jakoś zwyczajnie, ale w kościele na mszy.

W atmosferze ogólnych podejrzeń i typowania winnego, towarzystwo rozeszło się, żeby zrealizować pierwszą część planu.

Tymczasem w knajpie u Malińskiego, sześciu gospodarzy raczyło się piwem. Wśród nich był Marian Stefański i listonosz Kocięba. Nie brakowało oczywiście Felczaka i głupiego Wiśniewskiego, który siedział w kącie i uśmiechał się tak jak zwykle, czyli głupkowato. Swoje piwo pili również piekarz Kalczyński i pracujący u niego Zdunek. Gwarno było w knajpie, bo każdy coś tam ciekawego opowiadał i każdy miał na jedną ciekawą opowieść, jakąś własną historię do opowiedzenia. Nagle Wiśniewski zawołał.

- Baby, kurwa, idom! – I brudnym paluchem wskazał wychodzące z remizy kobiety.
- KGB, cholera jasna, idzie – z przekąsem powiedział Stefański i dodał – będą czystki we wsi.

I jak się później okazało, niewiele się mylił.

– A co one tam dzisiaj robią? Przecież to nie wtorek? – zaciekawili się Maliński i dodał – ty Marian nic nie wiesz? Twoja Wieśka też tam przecież.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Stefańskiego, oczekując na odpowiedź.

– A durne baby całkiem zgłupiały. Moja Wieśka znalazła jakąś porno gazetę i teraz robią dochodzenie: kto i dlaczego. – Tu z szelmowskim uśmiechem dodał – a jak namierzą kto, to wielka go czeka niespodzianka.

Na te słowa Kocięba zbladł i ledwo słyszalnym głosem wystękał:

– Gazetę porno znalazły?

Wszyscy spojrzeli na niego z zainteresowaniem, ale listonosz natychmiast zaczął się tłumaczyć.

– No nie, to nie ja, ale wiozłem przesyłkę i z koperty musiała wypaść, bo kiedy oddawałem na plebanii pocztę, to koperta była pusta a ksiądz zapytał, co z gazetą... – tu Kocięba przerwał, zbladł jeszcze bardziej niż poprzednio i ręką zasłonił sobie usta, jakby chciał powstrzymać słowa, które już uleciały w powietrze.

Atmosfera zgęstniała jak grochówka na wędzonce. Wszyscy milczeli, tylko Kocięba ukrył twarz w dłoniach i zawodził.

– Alem się wysypał, alem się wysypał.

I byłby tak jęczał do wieczora, gdyby nie przytomność umysłu Kalczyńskiego.

– Słuchajcie chłopcy – odezwał się. – Co usłyszane, to zapomniane. Gęba w kubel i ani mru-mru.

– Mru-mru – powtórzył jak echo Wiśniewski z uśmiechem na ustach, ale zaraz zmienił wyraz twarzy, kiedy Zdunek złapał go za rękę i zagroził.

– Tylko mi piśnij słówko, to ci nogi z brudnej dupy powyrywam.

Wszyscy pocieszali Kociębę, bo chłop wyglądał jakby się struł, na przemian błądy był i zielony. Na stolikach pojawiały się kolejne kufle piwa i złocisty płyn powoli, acz skutecznie, rozluźniał cokolwiek przyćmiewaną atmosferę.

Do niedzieli nie udało się kobietom z Koła wyjaśnić, kto odpowiada za zgubioną gazetę, zresztą trzeba przyznać, że nie bardzo się do tego przykładały. Stefańska próbowała rozmówić się z mężem na ten temat, ale ten z uporem twierdził, że nic nie wie i żadne słyuchy go nie doszły, żeby o czymś takim we wsi mówiono. Stefańska była niepokieszona, ale w jej głowie zrodził się wspaniały, nowy plan i z uśmiechem na twarzy położyła się spać w sobotni wieczór.

Nadeszła niedziela i jak to w niedzielę, społeczność wiejska udała się na mszę. Nie było w tej mszy właściwie nic szczególnego, aż do momentu, gdy Stefańska wstała i trzymając gazetę w ręku, zwróciła się do księdza z prośbą o interwencję i potępienie bezbożnika. Ksiądz poprosił o ciszę, ale Stefańska stała niewzruszona niczym żona Lota, a w jej wyciągniętej dłoni, jak pochodnia w Statule Wolności, tkwiła gazeta zwinięta w rulon...

Ksiądz westchnął zrezygnowany i gestem ręki poprosił kobietę do siebie. Stefańska dziarsko ruszyła przez kościół w stronę ambony. W tym momencie Kocięba poczuł, jak jego marny żywot zbliża się do nieuchronnego końca. Tymczasem ksiądz wziął do ręki czasopismo, niespiesznie nałożył okulary i...

– To ja!!! – wykrzyknął listonosz. – To moja gazeta, ja ją zgubiłem – dodał i opadł na ławkę.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę, więc nikt nie zauważył, jak ksiądz zachwiał się na ambonie, patrząc na swoją gazetę, a jego twarz zapłonęła żywą czerwienią, dziwnie podobną do koloru kwitnącej piwonii. Stefańska podparła się pod boki i z wyrazem triumfu, ale i z odrazą na twarzy, spoglądała na Kociębę. Potem spojrzała na księdza i już chciała rzucić jakąś uwagę na temat jego dziwnej i speszzonej miny, kiedy ksiądz wziął głęboki oddech i niemal wykrzyknął:

– Proszę o spokój. To dom Boży, a nie knajpa.

I dodał tonem, w którym pobrzmiwało miłosierdzie:

– Panie Kocięba, poproszę po mszy do mnie.

Listonosz skinął tylko głową, a ksiądz powrócił do celebrowania mszy.

Lecz nagle, jakby mało było tego dnia atrakcji, obudził się pijany Wiśniewski i krzyknął:

– Ani mru-mru, kurwa, ani mru-mru!

Ksiądz westchnął zrezygnowany, a Kalczyński i Stefański wyprowadzili rozbawionego Wiśniewskiego. Drzwi kościoła się zamknęły, ale jeszcze słyhać było krzyki głupka: „mru-mru, kurwa, mru-mru”.

W taki właśnie sposób zakończyła się sprawa gazety znalezionej przez Stefańską. Jednak historia ta miała wpływ na życie niektórych mieszkańców wsi.

Ksiądz po mszy podziękował Kociębie za to, że ten winę wziął na siebie, a przed samym sobą przyrzekł, że więcej takich gazet kupować nie będzie. Nie minęło jednak pół roku, gdy został odwołany do innej parafii, więc trudno rozstrzygnąć, czy słowa dotrzymał.

Kocięba przez jakiś czas nazywany był przez dzieci „pornołem”, ale zachował swoje stanowisko listonosza, więc dla niego również wszystko skończyło się szczęśliwie.

Największe zmiany nastąpiły u Stefańskich. Kilka dni po tych zdarzeniach, Marian Stefański pozdejmował z większości ścian obrazki Najświętszej Pani i zostawił tylko ten w pokoju gościnnym. Następnie wieczorem wlaź do łóżka swojej żony i nie słuchając jej płaczu i modlitw, dokonał zemsty za wszystkie chude lata, przy czym zrobił to przy zapalonym świetle i na wszystkie sposoby, jakie do tej pory tylko mu się śniły, a mścił się tak do rana. Wstał dopiero w południe i... zdębiał. Jego żona stała w kuchni w fikuśnej haleczce i przygotowywała śniadanie, na jego zaś widok uśmiechnęła się filuternie i rzekła głosem, o którym bez przeszkód można byłoby powiedzieć – seksowny.

– Zjedz coś, mój Herkulesie, a potem znowu będziesz mógł się mścić.

Za oknem świeciło słońce, ptaszki wesoło śpiewały i w powietrzu czuć było nadchodzące lato. Dziadek Józef, któremu opowiedziałem tę historię, uśmiechnął się i skomentował to na swój sposób:

– A to synek, dopiero początek wiosny i kto wie, co jeszcze nam przyniesie ten rok.

